GONIEC TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia $\frac{19 \text{ Grudnia}}{1 \text{ Stycznia}}$ $187\frac{6}{7}$ r. № 1.



Wojciech Bogusławski.

WOJCIECH BOGUSŁAWSKI.

Gdy w roku 1830 na jubileuszowéj uroczystości Bogusławskiego rozdano obecnym jego sztychowany portret, pod wizerunkiem obdarowani wyczytali wiersz Osińskiego:
„Krzywdzące głos ojczysty mniemanie umorzył,
Pisał, grał i grających na czas późny stworzył.“

Wysmażona ta sentencya bardzo dokładnie scharakteryzowała zasługi „ojca naszéj sceny.“ Pisał on, gdy trzeba było widzów przekonywać, że mowa ojczysta nadaje się wybornie do wypowiadania słów miłości, wzruszeń, dowcipów i gorzkiéj ironii; grał, gdy pragnął wykazać, że Polakowi nie trudniéj z grą sceniczną, niż ulubionym wówczas aktorom francuzkim; kształcił i przygotowywał artystów, tworzył komedyą, zaklinał do życia operę narodową, i z téj pracy zawziętéj, niestrudzonéj, wyprowadził z morza zwątpienia i niewiary w powodzenia scenę ojczystą, któréj téż miano ojca należy mu się najsprawiedliwiéj.

Bogusławski urodził się w r. 1760 i pierwotnie poświęcił się stanowi wojskowemu. Wogóle szlachetny ród jego czuł gorący pociąg do oręża i umiał się tłomaczyć logicznie na polu chwały z tego nieprzepartego pociągu.

Później Bogusławscy z żołnierki wędrowali na scenę, dobrze sobie téż poczynając, jak i tam, a Wojciech w osiemnastym roku życia wystąpił już na scenie z powodzeniem, które mu późniéj wyjednało stanowisko dyrektora teatru.

Były to czasy dla niego świetne.

Stanisław August marzył o cywilizowaniu narodu, i jako jednego środka więcéj w tym celu, użyć pragnął sceny. Scenę więc popierał, Bogusławskiego téż osobiście lubił i cenił, na śmiałe i szlachetne jego zamiary chętnie się zgadzał. Gdyby nie to, że poparcie króla dla teatru narodowego dobrym było przykładem, kto wié, czy ówczesna scena nie upadłaby pod obojętnością ogólną.

I Bogusławski téż świetnie się spisywał, wytężając całą energją do walki z uprzedzeniami, a bardziéj jeszcze z przybyszami obcymi, którzy mu pole zajeżdżali.

Wytrwały w powziętych zamiarach, gdy postanowił na krajowéj scenie miejscowemi siły wystawić operę — choć żartowano z uporu, choć król uśmiéchał się z niedowierzaniem Bogusławski dokonał dzieła i zatryumfował. W r. 1779 wystawił *Nędzę uszczęśliwioną*, a po kilku innych szczęśliwych próbach, wysiłkiem pracy dokonał cudu prawie, gdy na afiszu mógł zapowiedzieć publice piérwsze przedstawienie *Axura* Salierego, opery wielkiéj, licznych i umiejętnych wymagającéj czynników.

W rok późniéj *Krakowiacy i górale* (1794) odnieśli zwycięztwo na scenie ojczystéj: o możliwości kwitnienia i rozwoju opery polskiéj nikt już nie wąpił. Bogusławski wygrał sprawę i szala powodzenia przechyliła się na jego stronę.

Wypadki krajowe smutnie na powodzenie to oddziałały. Warszawa przestała być polem tryumfów dlasceny... trzeba się było puścić na wędrówkę, na tułaczkę artystyczną, na zawodną kolej ciężkiéj, krwawéj nieraz pracy.

I tu jednakże Bogusławski szedł na przebój. I owszem, wędrówka jego roznosiła po kraju całym zamiłowanie do sceny polskiéj.

W r. 1809 „ojciec sceny naszéj“ znowu objął jéj kierunek w Warszawie i rozpoczął świetny dla niéj okres.

Był to okres rozkwitu najpiękniejszych talentów, najczynniejszych sił. Bogusławski umiał je znajdować, kształcić, potęgować, zachęcać. Umiał też zasilać scenę dziełami wybieranemi trafnie, znał literatury dramatyczne obce; reportoar jego był olbrzymi.

W r. 1814 usunął się od kierunku sceny, składając go w ręce Osińskiego.

W r. 1827, jako starzec 67-letni, Bogusławski wystąpił po raz już ostatni. Żegnano go uroczyście, z zapałem uwielbienia i wdzięczności.

W dwa lata późniéj, 23 lipca 1829 r. „ojciec sceny polkiéj“ już nie żył. *St. M. Rz.*

FAŁSZYWE BLASKI

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE,

ZOFII MELLEROWEJ.

OSOBY:

ŁUBIN.
LEONORA, jego żona.
FILIP.
KSAWERY.
JANOWA.

Salonik skromnie umeblowany. W głębi i po bokach drzwi. Z prawéj okno.

SCENA I.

(Leonora siedzi przy stoliku i maluje kwiaty na wachlarzu. Przed nią rozrzucone pędzelki, farby, wachlarze, pudełka).

LEONORA *(po chwili odrzucając pędzelek).* Nie! już daléj nie mogę! W oczach mi się mąci, głowa pęka... Powietrza! powietrza! *(otwiera okno).* Już piąta! on dotąd nie wraca... o, ta samotność jest okropną! tęsknota mię pożera... *(wraca do stolika, przyglądając się wachlarzowi).* Co warta robota w roztargnieniu.... te kwiatki ułożone są bez najmniejszego gustu, jakieś blade, zwiędłe, umarłe... jak moje... marzenia... ba, jak wszystkie podobno marzenia, zamienione w rzeczywistość!... Znów napad melancholii, precz z nią, precz! *(wchodzi Janowa).* Trzeba trochę ożywić ten bukiet. .

SCENA II.

LEONORA, JANOWA.

JANOWA. Niechże téż pani rzuci do licha te szkaradne pędzliska! Od ósméj rano do piątéj o filiżance herbaty i wciąż przy robocie to... z przeproszeniem, waryactwo. Ot, lepiéjbyś, robaczku, przeszła się cokolwiek, odetchnęła świéżém powietrzem... Robota nie zając, nie ucieknie i tak więcéj nad obstalunek ślesz jéj gołąbko, do sklepów.

LEONORA. Chętniebym pobiegła, bo taka cudna pogoda... lecz mąż nadejść może, a wiecie że nie lubi, gdy wychodzę bez niego.

JANOWA. Nie lubi! więc gdzież go szukać? czemu nie przyjdzie po panią, jeno lata samopas? Oj, oj, żeby on był moim!...

LEONORA. No, no, nie gniéwajcie się, już pójdę, pójdę... Podajcie kapelusz. *(Janowa podaje)* Sama czuję, że przechadzka mię orzeźwi... i rozweseli może.... A panu powiédzcie, że wrócę niezadługo, pamiętajcie.

JANOWA. Powiem, powiem, niechno już pani tylko idzie... A możebyś co zjadła pierwéj, turkaweczko... rosołku trochę?..

LEONORA. Nie, nie—do widzenia *(odchodzi głębią).*

SCENA III.

JANOWA *później* ŁUBIN.

JANOWA *(składając wachlarze, pędzelki i farby w szufladę.* Niebożątko poczciwe jak to się troska, by go nie rozgniewać... Oj, lepszéj ona warta doli, lepszéj... ale tak zawdy bywa, kiedy kto na fantazyą bierze, nie na rozum. Wybrała téż sobie gagatka, wybrała!.. *(spogląda na zegar).* Ot np. i teraz, już w pół do szóstéj, obiad gotów od trzech godzin, chłopaki czekają od południa, pieczeń wyschła na wiór, a jego jak nie masz, tak nie masz! Skaranie Boże z takiém gospodarstwem! *(wchodzi głębią Łubin)* Proszę pana, trzeba już raz jaki koniec zrobić z temi chłopakami; codzień siedzą mi na karku.

ŁUBIN. Z jakiemi chłopakami?

JANOWA. Ano, onemi z redakcyi.

ŁUBIN. Aha, już wiem... to dziś czwartek... po artykuł, zaraz, zaraz dam, tylko dokończę. *(Janowa odchodzi na prawo).*

SCENA IV.

ŁUBIN, *potém* FILIP.

ŁUBIN. *(sam)* Bolek mnie zagadał... *(wyjmuje z kieszeni długi pasek papieru, do połowy zapisany).* Artykuł wstępny: „*O sztuce*." Co to za dowcipna bestya ten Bolek, a jaką moc pochłania czarnéj kawy, to niech go piorun trzaśnie! *(Siada do pisania)* „Prąd materyalizmu coraz szerzéj rozlewający się po Europie, całkowicie wygnał z niéj sztukę" *(mówi)* Bander wścieka się tam pewno za opóźnienie... Ja tu sobie łeb smażę a on zagarnia pieniądze i jeszcze mi wytrząsa! bodaj to być wydawcą! *(pisze)* „Opuszczona córa bogów, wróciła do swéj niebieskiéj ojczyzny, za całą zemstę unosząc z sobą skarby uczuć, któremi, wzamian za oddawane sobie hołdy, darzyła śmiertelnych!" *(mówi)* Bolek rozwodził się dziś nad uciechami bogaczów. Gdybym kiedybądź dochrapał się fortuny, powiada—nosiłbym buty z panieńskiéj skórki, gwoli nagniotkom, sypiał na materacach wypchanych sumieniami krytyków dla elastyczności, i ani się tknął roboty!... *(pisze)* „Heroizm, poświęcenie, miłość, twórczość, wiara, fantazya, z nią razem opuściły ziemię" *(mówi)* z tą córą bogów. Ja znów folgowałbym podniebienia; najprzód na śniadanie... *(wchodzi Filip).*

FILIP. Witaj, zacny kuzynie Łubinie!

ŁUBIN. Filip w Warszawie! a ty zkąd?

FILIP. Babcia wyprawiła mię do was na parę tygodni, bym się trochę obtarł, ucywilizował na wielkim świecie.

ŁUBIN. Jeśliś przywiózł dużo pieniędzy, pomogę ci... puścić je wesoło. *(D. c. n.)*

C H O I N A.

O witaj ty mi zielona choino,
  Dalekich wspomnień ty świadku uroczy,
  W twoich światełkach utopiłem oczy,
Jakbym był jeszcze tą małą dzieciną,
Co do twych cacek śmiała się, choino!...

Dzisiaj, ja ciebie pytam zasmucony,
  Kędy te lata i ten domek kędy
  Gdziem śpiewał jeszcze dziecinne kolendy,
I anim marzył, że rzucę te strony,
W których się pień twój rozwinął zielony.

Choinko moja, tyś jak ludzkie życie
  Cackami marzeń w koło obwieszona,—
  Serce się ku nim wciąż wyrywa z łona
Jak do twych świateł, do gwiazd na błękicie,
Aż je po jednéj, wszystkie zgasi życie....

Że potem stoim z posmutniałą twarzą
  Przed marzeń własnych odartą choiną,
  I łzy nam tylko ciche, rzewne płyną,
Jak u tych dzieci, — co o drzewku marzą
Jeszcze po świętach, i matkom się skarżą.

Choinko moja, blaskiem marzeń złota
  Ze wszystkich świateł, co na tobie płoną
  Jedno, jedyne z gałązką zieloną
Zachowaj ty mi na resztę żywota!...

n.

DWIE PRZYJACIÓŁKI

SZKIC Z PRETENSJĄ DO PSYCHOLOGICZNOŚCI

przez

KAZIMIERZA ŁUNIEWSKIEGO.

I.

Cień i Światło.

Czy wierzycie w przyjaźń pomiędzy kobiétami? Ja nie bardzo, a jednak nie znałem wśród świata dwóch serdeczniejszych przyjaciółek, jak pani Hortensya i pani Estella. W towarzystwie, w teatrze, na koncercie, w kościele nawet widywano je zawsze obok siebie. Ludzie, odznaczający się pewnym zasobem erudycyi, nazywali te panie żeńskim Damonem i Pythiasem; dusze marzące i tkliwe chętnie przyrównywały je do dwóch bratków na jednéj łodydze, albo do dwóch kropel rosy w jednym róży kielichu. W porównaniu tém jednak wiele było poetycznéj licencyi. Jeżeli bowiem życie niczem innem nie jest, jeno rozmaitością w jedności, to pani Hortensya i pani Estella stanowiły nader wybitny argument na korzyść téj zasady. Obie razem składały kontrast, przeciwko któremu sam Wiktor Hugo nie miałby nic do nadmienienia. Pani Hortensya miała włosy jasne i oczy niebieskie, u pani Estelli obie te rzeczy lśniły najdoskonalszą barwą hebanu. Pani Hortensya osóbka średniego wzrostu, znajdowała się na tym stopniu fizycznego rozwoju, który nie wkraczając jeszcze w zakres tuszy właściwéj, odznacza się jednak wybitném wszelkich form zaokrągleniem. Pani Estella mogłaby w tym względzie bardzo wiele przyjaciółce zazdrościć. Jakkolwiek bowiem jéj talia zamykała się w granicach zadziwiającéj cienkości, ale powyżéj i poniżéj nie rysowało się nic takiego, coby ową cienkość należycie uwydatniało. Niziutka, szczupła, o rysach drobnych i cerze chorowitéj, przedstawiała zdaleka wielkie podobieństwo do figurki woskowéj. Na aksamitném tle kanapy zaledwie można było dojrzeć jéj nikłą postać śród koronek i atłasów, a życie zdradzało się tylko w głębi jéj oczu ciekawych, niezwykłym ogniem rozżarzonych i patrzących tak, jak gdyby wiecznie czegoś szukały śród świata.

W pani Hortensyi wszystko natomiast oddychało zdrowiem i siłą. Na jéj czole kształtném i wysokiém, napróżnobyś szukał śladu choć jednéj zmarszczki. Policzki okrywał rumieniec w pełnym rozkwicie. W ogólnym tonie jéj twarzy przebijała dojrzałość i rozwaga. Z pod regularnie zarysowanych rzęs, nie strzelał nigdy niespokojny tajemniczy płomień, zwiastun niedogaszonych namiętności i burz huczących głucho. Od piérwszego na nią spojrzenia poznać mogłeś, że masz do czynienia z kobiétą, która szła przez życie bez cierpień i zawodów, zdobywała powoli zasady i przekonania, a co raz skrystalizowało się w jéj umyśle, pozostawało już stałém i niezachwianém na zawsze. Śledząc baczniéj tę twarz spokojną i dobrotliwie najczęściéj uśmiéchniętą, dostrzegałeś około ust karminowych i wydatnych pewien odcień woli stanowczéj i niezłomnéj, w oczach nieco ironii i nieco znudzenia, a pierś falująca miarowo i regularnie, jak tryby maszyny parowéj, mówiła wyraźnie, że w jéj głębi nie zawrzała nigdy jeszcze walka rozpaczliwa pomiędzy pragnieniem a możnością dopięcia celu

Czy kochała kogo kiedy?... Nie umiem na to odpowiedzieć. Z uczuciami jéj musiało dziać się to samo, co i z pojęciami. Potrzebowała się do nich przyzwyczaić. Refleksyjna jéj natura lękała się przedewszystkiem wszelkich ostateczności, wszelkich zbyt ostro wyskakujących konturów myśli i uczucia. Była wielką zwolenniczką półświateł i pół-cieni. Człowiek, któremu skłonną była oddać serce i losy, musiał długo i wytrwale popierać swoją kandydaturę, ale za to raz przekroczywszy kulminacyjny moment wyboru, mógł już do końca życia nie obawiać się destytucyi. Usposobienie takie doprowadziło ją do posiadania męża rozsądnego, statecznego i trzeźwo patrzącego wyż-

cie, który do dziś dnia byłby zapewne wiernym i nie poszlakowanym jéj towarzyszem, gdyby nie fatalne zaziębienie na polowaniu. Wypadek ten zamienił szczęśliwą mężatkę w niepocieszoną wdowę. Boleść pani Hortensyi, jakkolwiek szczera, nie trwała przecież dłużéj nad rok i sześć tygodni. Wkładając po raz piérwszy jasną suknię, powiedziała sobie wdowa, że sfera uczuć została już dla niéj zamkniętą, ale że można żyć jeszcze dla samego życia, dla jego wygód i przyjemności, dla całéj téj siatki wrażeń przelotnych i zmiennych, jak barwy wiosennego zachodu.

Przeniosła się do stolicy, gdzie oddawna ciągnęło ją zamiłowanie ruchu, i otworzyła salon. Młoda jeszcze, bogata, pełna taktu i poczucia konwenansu, umiała zgromadzić u siebie najpoważniejsze i najświetniejsze firmy towarzyskie. Z początku znalazła się w obec całego zastępu pocieszycieli, usiłujących przekonać ją, że życie jest podróżą, którą najlepiéj odbywać we dwoje. Odpowiedziała im tak jasno, tak stanowczo, tak dobitnie, że pragnie podróżować sama, iż zdecydowali się pozostawić ją w spokoju... Niektórzy zdradzili zamiar odprowadzenia jéj do piérwszéj stacyi, ale tym dała jeszcze energiczniejszą odprawę. Najwytrwalsi a może najbardziéj zaufani w sobie, pomawiali ją przez pewien czas o zręcznie maskowaną kokieteryą, ale widząc, że maska nie spada i karnawał nigdy się nie kończy, odchodzili z tą dozą melancholii, jaką posiadać musi odwrót, odbywający się z honorem.

Kokietką nie była w istocie pani Hortensya, ani jawną ani ukrytą. Baczny dostrzegacz mógł to poznać od razu, patrząc na jéj kształtną nóżkę, wysuniętą niedbale z pod sukni i nie cofającą się przed ludzkim wzrokiem, jakby dla pociągnięcia za sobą oka i wyobraźni w nieprzejrzane fałdy materyi. Potwierdzały to jeszcze lepiéj obie jéj nóżki na ulicy, podczas kurzu lub wilgoci. Ukazywały się wtedy tak obojętnie z pod sukni podpiętéj, postępowały naprzód krokiem tak pewnym i stanowczym, nie zdradzały tak dalece najmniejszego zakłopotania, że tylko bardzo krótkowidzący człowieczek mógł żywić względem nich jakąkolwiek wątpliwość lub nadzieję.

W salonie pani Hortensyi rozmawiano potrosze o wszystkiem, o polityce, wyścigach, sztukach pięknych, o mężczyznach i kobiétach, o miłości nawet niekiedy, ale o wszystkiem pół-seryo a pół-żartem, nie tyle troszcząc się o sam przedmiot, ile o formę wykwintną i dowcipną. Dla zapału, przekonań gorących a szczerych, nie było tam właściwie miejsca, a jeżeli kto go przypadkiem posiadał, obowiązany był zostawiać razem z paltotem w przedpokoju.

Biletem wejścia do tego salonu było urodzenie, majątek lub talent. Nie można powiedzieć aby te trzy rzeczy imponowały pani Hortensyi, gdyż nic jéj imponować nie było w stanie. Wszystkiemu na świecie przeciwstawiała swoją zuchowatą, buńczuczną indywidualność. Ale z urodzeniem, majątkiem lub talentem, pani Hortensya raczyła się wewnętrznie solidaryzować, podczas gdy reszta rzeczy zapełniających świat była jéj najzupełniéj obojętną.

Nie wiemy, czy słusznie wszystkie te przymioty zyskały jéj miano kobiety silnéj. To jednak pewna, że pani Hortensya miała jedną słabość widoczną, a tą była jéj przyjaciółka Estella.

Życie Estelli przejawiało się od dzieciństwa w samych tylko nerwach. Nerwy sprawiły, że w 17-tym roku życia wykradła się z jakimś włoskim awanturnikiem, który wkrótce potém niepomny szczęścia, jakie go spotkało, pozwolił się zabić Anglikowi w pojedynku. Odtąd pani Estella pokłóciła się raz na zawsze z całą rzeczywistością i nic nie było w stanie nakłonić ją do zgody. Napróżno usiłowała znaleść uspokojenie na łonie najotylszego z bankierów i najpotulniejszego z mężów, — nerwy zmuszały ją gonić za coraz nowemi wrażeniami i piorunować bezustanku na porządek rzeczy ziemskich. Im daléj, im głębiéj tonął jéj ideał w mglistéj niedościgłości, tém uporczywiéj go szukała, a rozczarowania i zawody były dla niej tylko bodźcem nowym. Rozmowa z nią nie przedstawiała żadnych szczególnych trudności. Dość było od czasu do czasu rzucać jéj, niby ziarno twarde, wyrazy: praca, postęp, cywilizacya, wolność, prawa kobiety, mężczyzn tyrania, — ona porywała je i jak młyn przerabiała na sypką mąkę frazesów, którą rzucała w oczy obojętnych i sceptyków. W wojowniczéj żarliwości nic nie mogło jéj zrównać i zazwyczaj, jeśli rozpoczęła walkę, kończyła ją tylko dla zupełnego braku przeciwników. O wprowadzeniu w czyn swoich idei marzyła wprawdzie,—ale do dzieła zabrałaby się tylko wtedy, gdyby obok niéj stanął mężczyzna z duszą ognistą, któryby ją zrozumiał, przeniknął i miłością wielką zbrojny szedł z nią ręka w rękę na krwawy bój z przesądem. Od czasu do czasu zgłaszał się ktoś do apelu, ale zwykle po kilku próbach nie okazywał dostatecznego usposobienia. Pani Estella szukała daléj. Cóż dziwnego, że w miarę jak sama posuwała się w lata, werbowała sobie rycerzy coraz i coraz młodszych?

— *Cette pauvre Estelle* — mówiły złośliwe języki — jeżeli rzeczy pójdą tym trybem, niezadługo przyjdzie jéj apostołować niemowlęta.

Pani Hortensya w tłumie licznych znajomości odkryła postać Estelli i przygarnęła ją ku sobie. Co zbliżyło dwie tak różne kobiety, nikt nigdy nie odgadł, choć nieraz sobie suszono nad tem głowę. Co do mnie jestem zdania, że stało się to na zasadzie prawa kontrastów. Był to zresztą stosunek wygodny dla stron interesowanych. Filozoficzny spokój i praktyczna trzeźwość pani Hortensyi, nigdy się lepiéj nie uwydatniały jak na tle gorączkowych uniesień Estelli. Wojowniczy ferwor téj ostatniéj, doskonale odbijał od chłodnego indyferentyzmu wdowy. W połączeniu, obie rysowały się wyraziściéj.

Byłyż przyjaciółkami naprawdę? Odkrywałyż przed sobą te tajemnicze drgnienia myśli i uczuć, o których wie tylko Bóg na wysokościach a czasem jego sługa, spowiednik na ziemi?...

Nie sądzę, ponieważ w salonie pani Hortensyi nie widziałem nigdy żadnego z zapaśników idei, powołanych na chwilę do walczenia pod sztandarami pani Estelli.

Zresztą, ponieważ zdaje mi się, że czytelnicy poznali już cokolwiek charaktery dwóch przyjaciółek, przystępuję do opowieści, to jest do wypadku, który ten serdeczny stosunek rozerwał. *(Dok. nast.)*

PYŁKI.

Cześć niechaj będzie p. Dobieckiemu, organizatorowi Bazaru i tym wszystkim, którzy wpływają ostatecznie na rozkwaterowanie indywiduów, assystujących pięknym i dobroczynnym kupcowom.

Cześć niechaj im będzie, cześć po wieki, iż powierzono mi obowiązek *attaché* przy namiocie pani Julii, jednéj z najprzyjemniejszych istot, jakie kiedykolwiek trudniły się sprzedażą we wszystkich bazarach i dobroczynnych wentach tego i tamtego świata.

Kobiéta światowa powinna umieć trzy rzeczy: krótko zapytywać..... znacząco milczeć..... i dobrze słuchać. Pani Julja jest kobiétą światową; czy pod namiotem bazarowym, czy w salonie, czy też w antrakcie, na bulwarach lub na Lido, potrafi ona zawsze rozmowie swéj dać osobny właściwy miejscu koloryt, a koloryt nie sztuczny, zasadzający się na mięszaninie wszystkich języków w czasie wznoszenia wieży Babel w używaniu będących, lecz czerpiący swoją siłę z otoczenia, z sytuacyi, z serca i... sprytu.

Pani Julja wracała właśnie do Warszawy z głuchego Polesia. Spragnioną była wieści ze świata życia, ruchu, blasku..... Sprzedaż w namiotach, jako w godzinach porannych, szła ospale; nie dziw więc, żeśmy się cali oddali rozmowie, miasto poświęcać się grobowym kontemplacyom, jak to w wielu namiotach, zapewne ze zwyczaju wschodniego, czyniono.

— Jak pan znajduje towarzystwo tegoroczne?...—zapytała pani Julja...

— Tegoroczne zupełnie to samo co lat dawniejszych.

— Więc żyje?

— Żyje, jeśli życie towarzyskie polega na tem, aby jak najdobitniéj dowodzić zajęcia podczas największych nudów... Nie wiem czemu to przypisać, łaskawa pani, ale dziwny ono przybrało u nas charakter. Dawniéj mniéj o tém życiu mówiliśmy, dziś zaś tylko na tém się kończy.

— Cóż je łamie? Ach! ja tak lubię życie towarzyskie... Ono orzeźwia, odświéża, wieczną ma ponętę.

Pani Julja zaś wierzyła w to, co jéj usteczka głosiły. Ztąd więc i życie w jéj salonie, miewało zwykle wybitną świetność.

— Nie wié pan—ciągnęła daléj czyj wtorek?

— U pani R...

— Czy zawsze kocha tak teatr?

— Pani R... wierną jest Melpomenie i zamiłowanie swe ku sztuce posuwa nieomal do przesady,

— Ucałowałabym ją za to... Teatr! pokażcie mi szlachetniéjszą świątynię sztuki..... jakie pan widział w tym roku teatra? Opowiadaj pan...

— Czy zacząć od warszawskiego?

— Naturalnie!

— Więc w naszym dość cicho. Dramat, w którym wystawiono kilka nowości, przez prassę na wszystkie już strony przenicowanych, dostaje się w inne ręce.

— A Pan Bogusławski?

— Ustępuje... nie znalazłszy w ciele artystycznem poparcia, znękany przeciwnościami, jakiemi każdą chwilę jego reżyserskiego zawodu zaprawiono. Tyle nadziei pokładanych w jego kierownictwie rozwiać się musi; widocznie nie dano jest rycerzom z literackich i krytycznych szranków prowadzić w bój teatralną kohortę... *Irritabile genus*...

— Nie wié czego chce, lub znów czasami zbytnie folguje znanemu swemu usposobieniu do zmian gabinetowych, przewrotów, zamętów i tym podobnych zawieruszeń, które na sztukę najzgubniéj wpływają, a które za granicą już potrafiono zaprowadzeniem pewnego rodzaju rygoru usunąć. Czy przypomina pan sobie ostatnią rewolucyjkę aktorską w operze komicznéj w Paryżu, w czasie naszego wspólnego pobytu?

— Pomnę pani... szło o reżysera, który wbrew koleżanek intrygom forytował Małgorzatę Priola. Miał słuszność, była to śpiewaczka bardzo poprawna, repertuar miał z niéj dzielną podporę. Małgorzata padła dziś ofiarą pracy...

— Jakto?

— Ostatnie dzienniki przynoszą wiadomość o jéj skonie. Zmarła w kilka dni po starym Tamborinim.

— Biédne dziecko..... słuchaliśmy ją z przyjemnością... Ale à propos opery komicznéj... co w niéj nowego?

— Dotąd sezon dość martwy; spodziewają się ożywienia, Gounod bowiem dla niéj kończy partycyę.

— A jaka operetka króluje w téj chwili w Paryżu?

— „Paweł i Wirginja" Masse'go.

— Na temacie romansu Bernardina de Saint Pierre?.

— Naturalnie.... Wyobraź pani sobie, że sielanka ta zachwyca zdenerwowany Paryż. Przed Masse'm próbowali już szczęścia na tem librecie Kreutzer, Leuseur i Reeve, wszakże on dopiéro stworzył dzieło fortunniejsze. Najpiękniejszym podobno momentem jest duet pod drzewem w czasie burzy, kiedy to w sercu Pawła miłość budzić się poczęła... Wiele wdzięku ma śpiew Pawła u stóp Wirginji, zaczynający się od słów:

O! powiedz jaki w tobie czar
Nadziemską siłą władasz ty....

— Podoba się też chór marynarzy i finale. Capoul jako Paweł porywa; szesnastoletnia Cecylia Ritter, siostra znanego dobrze pianisty, od razu jako Wirginja stała się *enfant cheri* Paryża.

— Słyszałam też coś o nowéj bouffie Lecoqua?...

— A! „Kosiki" w Renaissance, bajka japońska, w któZulma Bouffar entuzjazmuje tłumy. Muzyka podobno dobra, zbliżona do partycyi Adama.

— A maestrino Offenbach?

— Nie zapomina pani o nim? Offenbach gotuje podobno nowy wywar z dawno uwiędłych kwiatów swych melodyi. Niedawno przedstawiona w *Bouffes Parisiens* jego operetka „Boîte de Lait" nie znalazła echa u słuchaczy..... Natomiast Judic chcąc poprawić chwilowy zły humor mistrza, wznawia „Piękną Helenę."

— „Helena" dziś?...

— Tak pani... Jesteśmy w Paryżu. Niech pani nie zapomina, że paryżanie wylewają dziś rzewne łzy na wspaniałéj tragedyi Parodiego „Rome vaincue" nad Sarą Bernardt, jako westalką, aby je sobie jutro powetować na odgrzewanéj bouffie lub nowém głupstewku, jak *Jeanne, Jeannete et Jeaneton* Lacome'a.

— Znam dobrze Paryż...

— Wszak wielki sukces ma ją „Bohemiens de Paris," w *Porte Saint Martin.* Céline Montaland, *plus belle qué jamais*, w entuzyazm wprawia jako śpiewaczka i aktorka. A zdaje się przecież tak niedawno, gdy sztuka ta gasła na wieki.

— Co się dzieje z Patti...

— O którą pani pyta?

— Choćby o obydwie?

— Carlotta koncertować będzie w Berlinie. Adelina bawi w Paryżu, klimat petersburski jéj zaszkodził... Nilsson poszła za jéj przykładem i tym sposobem *italianissimi* nad Newą pozbawieni zostali gwiazd pierwszorzędnych i podobno ostatni święcą już sezon... Adelina zresztą musi czekać w Paryżu na rezultat procesu z panem de Caux, z którym podobno chce się na zawsze rozłączyć.

— Tak czułe małżeństwo?

— Nienawiść i miłość, pani, to dwie dzikie róże z jednego krzaka...

— Jaki jest powód rozwodu....

— Podobno pan markiz uznawszy, że nie ma sposobu przedłużenia życia, postanowił szukać najprzyjemniejszych środków do skrócenia go... ztąd nieporozumienia.

— Nie wierzę w to... plotka! Ona mu tyle zawdzięcza.

— Wdzięczność ludzka, wdzięczność kobiét, wdzięczność artystek..... ach! żądasz pani rzeczy bardzo rzadkich. Jedna Nilsson odwdzięczyła się tylko swemu dobroczyńcy. Był nim niejaki Kruze, prowadzący niedźwiedzia bardzo uczonego po jarmarkach, któremu ona przygrywała na skrzypcach... Dziś pani ta bywa u dworu, ma order Wazy, miliony, i w darze ofiaruje swemu piérwszemu impressariowi gabinet woskowych figur. Równocześnie wszakże zapomina wielka śpiéwaczka o swojéj siostrze, służącéj w hotelu, która wszakże tém się pociesza, że ma wspaniały, dzwięczny jak srebro głos, niebezpieczny nawet dla Krystyny!

— Jesteś pan złośliwy... Pozwól, że o jedną jeszcze zapytam. Gdzie bawi przyjaciolka niemieckiego kanclerza?

— Pyta pani o Lukkę... Artystka ta chce się wsunąć w najciemniejszy kąt jakiéj willi lub szałasu. Sprzykrzyła sobie tryumfy. Zima ta jest jéj ostatnim sezonem, a będzie dla niéj, zdaje się dość przyjazną, zważywszy, że uzyska około 240,000 marek.

— Jeszcze jedna...

— Pewno Donadio?

— Tak... mała ta francuzka śpiewała podobno w Berlinie... a sukcess...

— Był zupełny; szczególniéj udawały się jéj tak zwane „władki"; przebrzmiałemi dziś już warjacyami Procha zyskiwała zawsze setki wielbicieli!

— Cóż więcéj w Berlinie nowego?

— Mniéj, aniżeliby się pani spodziewała; koncertuje tam Bilse, spodziewają się zaś głośnego skrzypka, Pablo de Sarassate, współzawodniczącego obecnie mniéj szczęśliwie w Wiedniu z Henrykiem Wieniawskim. Młody ten hiszpan olśniewał wszystkich swoją techniką, zdumiewał wszakże równocześnie brakiem duszy, co się głównie przy transkrypcyi szopenowskiéj ujawniło. Szopena nie można się nauczyć; Szopena czuć trzeba..... Zawadziwszy o skrzypków, podaję do wiadomości pani, że kwartet florentyński, grający obecnie w Niemczech, wystąpił z oryginalną nowością...

— Czy może z kwartetem Wagnera? byłoby to doprawdy oryginalne!

— Nie! pani, pozwól w spokoju dokończyć Wagne-

rowi najnowszego jego dzieła „Parcirala“ i zająć się przygotowaniem do nowéj beyreutowskiéj komedyi, a oczekuj raczéj niespodzianki jeszcze większéj. Oto Verdi, po Aidzie i Requiem, wziął się do pisania kwartetów na wzór starych mistrzów, i choć Niemcy kręcą nosami, choć ganią wiele, począwszy od „canzonowego“ andantina, a skończywszy na ostatniéj fudze, jednak kwartet znakomitego Włocha uzyskał w muzyce prawo obywatelstwa!

— Gdzie grano ten kwartet?

— W Berlinie. Stolica cesarska jak zawsze ponura, bez ruchu błyskotliwego, wielkoświatowego, jakim wre Paryż lub Wiedeń. W operze swary i zupełny brak nowości, w dramacie nie lepiéj się dzieje. W tych dniach zamknięto przybytki niemieckiéj Melpomeny w Magdeburgu, Wrocławiu, Düsseldorfie i Poznaniu, w którém to ostatniem miejscu pięknie się rozwija sztuka polska pod egidą pp. Terenkoczego i Doroszyńskiego. W Austryi życia daleko więcéj. Wiedeńskim teatrom wiedzie się doskonale, zarówno jak i prowincyonalnym. Wiele hałasu w ostatnich czasach sprawiła w Burgu sztuka p. t. „Fromont jeune et Risler aine“...

— Czy wykrojona z powieści Daudeta?

— Tak, pani, i wykrojona przytém tak śmiało, że się aż cała wiedeńska krytyka zarumieniła.

— Więc treść...

— Niegodna tak poważnych desek jak są Burgu deski. Skorzystał z téj porażki p. Dingelstädta stary Laube, i w téj saméj chwili wystawił w swoim miejskim teatrze wysoce patetyczną tragedyę Greifa „Nero.“ Jak pani wiadomo w Niemczech do gotowych kostjumów robią się tragedje! Ta nie mniejszą odznaczała się od innych śmiertelnością, sukces jéj był przyzwoity i Laube zatryumfował.

— A przedmieściowe teatra?

— Żywią się burleską i nawet tyją! Teatr Karola ma wkrótce otrzymać nową operetkę króla walców „Methusalem,“ w komicznej operze wystawią podobno najnowszą partycyą Flotowa „Kwiat Harlemu,“ entuzyastycznie w Turynie przyjętą. Troskliwy zbieracz irlandzkich melodyi, potrafił się tu wzbić do wysokości prawdziwego artyzmu. Ciekawą jest rzeczą, co zrobi z tym „Kwiatem“ świat szerszy. „Machabeuszom“ Rubinsteina podobno nie zbyt jasna zaświeciła gwiazda w maryjskim teatrze w Petersburgu...

— A nasza opera?

— Będzie odpoczywać po jesiennym sezonie, w którym śpiewała bardzo często. Czekamy Włochów co w „Hugonotach“ wyprowadzą w bój czoło swéj truppy... Co zaś do przedstawionéj niedawno partycyi Münchheimera...

— Chcesz pan mówić o „Stradjocie.“...

— Tak, wiele by się o niéj dało powiedzieć. Lecz pewno panią nudzę kręcąc się blizko godzinę w zaczarowanem kulis kółku...

— Mów pan, proszę... Jeślim ciekawą była rzeczy zagranicznéj, tém bardziéj winna mnie obchodzić swojska.

— Niestety! jak mała garstka u nas podziela to przekonanie, jak często gardzi się u nas wszystkiem, co nie ma na sobie zagranicznego stempla. Mniéj wesoły los, jaki dostał się „Stradjocie“ mówi bardzo źle o publiczności warszawskiéj. Dzieło oryginalne, pracę długich dni i bezsennych nocy, owoc studjów i doświadczenia, potrafiła Warszawka połknąć tak samo jak „Most Westchnień“ pana... Chodźki, który „ma to do siebie,“ że z setki offenbachowskich produkcyi wybiera statecznie najgorsze. Autor „Stradjoty“ może zrażony tym chłodem publiczności, któréj nawet dziennikarstwo do frekwencyi nie poruszyło, strzaskać lutnię, i bylibyśmy znów o kompozytora ubożsi. A wielu ich nie mamy. Bo kto może pisać opery? Żeleński, Grossman, Jarecki (ukryty we Lwowie i zaprzątnięty kapelmistrzowską pracą), Hertz, Rożniecki... oto podobno i wszyscy, którzy o tém myślą i zachęceni, zagrzani, dzieła dokonać by zdolali. Popatrzmy jak Niemcy pieszczą kompozytorów; nie mówiąc o Wagnerze, lada organista skleiwszy kilka tysięcy taktów, widzi swoje dzieło przed sądem opinii, krytyka na nie chucha, a Niemczyska cieszą się, bo to ich rodzime, więc poparcia godne. „Folkungerów“ Kretschmera dawano w oczach naszych niedawno w Wiedniu. I cóż w nich nowego, co po nad kompilacye i wagnerowską manierę? Czy krew prawdziwa płynie w tém najmłodszém dziecięciu niemieckiéj muzy, czy ono wieki żyć będzie? Nie! nigdy! a mimo to twórca opery dusi się od dymu kadzideł, jest całowany, fotografowany, zasypywany przerozmaitemi owacyami, reklamami, a podobno ze strony panujących różnokolorowemi wstążeczkami. Czując swoją niepłodność, — bo to dziś na mistrzów nieurodzaj—Niemcy to, co już świat ujrzało, kochają i cenią. My zaś dusimy swoje pisklęta, więc setki nam chyba lat czekać na słowika!

— Pan, zdaje się, sprawę tę bierze za gorąco, więc chłodu, spokoju, słów gładkich, rękawiczek.....

— Ach! w tem nasze nieszczęście, że zawsze nosząc rękawiczki, nigdy sobie dla tego rąk umyć nie możemy.....

tc.

SPORT.

Otwierając ten dział w piśmie naszém, mamy na celu podawanie wiadomości, dotyczących głównie stadnin polskich i w ogóle hodowli koni, oraz myśliwstwa krajowego, niepomijając wcale ważniejszych wypadków w tym względzie za granicą

Tradycya łowów dawnych, stadnin licznych, strzelców celnych, dzielnych jeźdźców, dziarskich harców na koniu i przygód myśliwskich, z postępem wieku zaginęła prawie niepowrotnie..

Zamiłowanie do rozrywek tego rodzaju zmniejszyło się znacznie w naszych czasach. Nowe pokolenie szuka ich na inném polu; nie naszą rzeczą rozsądzać dla czego? Co prawda, z upadkiem dawnéj tradycyi wyleczyliśmy się także z kosztownéj i niebezpiecznéj, że tak powiemy *koniomanii*, a doprowadzona do rozrzutności świetność dawnych łowów, dzisiaj stała się rozrywką bardziéj umiarkowaną i tylko wyjątkowo zamożnym dostępną.

Tor wyścigowy i polowanie, dwie szlachetne rozrywki, które jakkolwiek w nowsza formę ujęte, dadzą się przecież nawiązać do dawnych tradycyi, dostarczać będą materyału temu działowi.

Pozwalamy sobie przytém powiedzieć, że rubryką tą niemamy na myśli karmić ogółu i rzeczy sportu wszem w obec narzucać; jest ona tylko dla tych, co się sprawą tą interesują i treści jéj nie lekceważą.

* * *

— **Wyścigi.** — Najwięcéj nagród zdobyli na wyścigach w Anglii w r. 1876 panowie:

Hr. Lagrange. . 0. 17,65 funt. szter.
Lord Dupplin . . 14,360 funt. szter.
Lord Rosebery . . 13,190 funt. szter.
i Lord Falmouth . . 10,060 funt. szter.

— Na rok 1879 ustanowiony został w Anglii nowy wyścig dla 3-latków: „The great Foal stakes“, z nagrodą 1,000 funt. szterlingów. Podpisy po 20 funt. szter. trwają ciągle; zapisywać można tylko źrebięta przy piersi; dotąd zapisano na ten wyścig 442 źrebiąt.

* * *

— **Polowania.** — Obecnéj zimy myśliwi nasi nieprzedsiębrali żadnéj większéj obławy, przez to téż w rubryce polowań w kraju dokonanych, nowości podać nie możemy. Wrócić się raczéj należy do świetnych polowań ubiegłéj zimy odbytych, których opis zdaniem naszém zaciekawi niejednego czytelnika, i przekona o niewygasłéj w nas żyłce do łowieckiego kunsztu.

Polowania te, a mianowicie najświetniejsze, odbyły się wzorem lat poprzednich roku bieżącego w miesiącu marcu, w Berezynie Luboszańskiéj, w obszarach 15 mil kwadr. Obszary te stanowią jedną z największych posiadłości w kraju, a położone są w gubernii Mińskiéj w powiecie Ihumeńskim. Posiadłość ta należy do hr. Maurycego Potockiego; otrzymał zaś ją hrabia w spadku po kądzieli po marszałku i hetmanie polnym litewskim Ludwiku Tyszkiewiczu, którego córka jedynaczka oddała rękę hr. Aleksandrowi Potockiemu, ojcu hr. Maurycego.

Berezyna Luboszańska przeważnie nieprzebytemi lasami odznaczająca się, jest ostoją przeszło pięciuset łosiów, które są bardzo czujnie przez straż leśną strzeżone, a na polowaniach oględnie strzelane; nigdy bowiem nad sztuk kilka rocznie z broni nie ginie. Berezyna jest též schronieniem bardzo pokaźnéj liczby niedźwiedzi, których legowiska zaraz z nastaniem piérwszych jesiennych śniegów, służba leśna wynajduje i miejscowość gdzie odkryte zostały naznacza, tak że każda obława na pewnego już zwierza zachodzi, otaczając go ścieśnionym łańcuchem. Ludzi obławę stanowiących bywa zwykle 300 i ci zajmują ostęp od 4 do 6 tysięcy kroków obwodu mający; myśliwi zaś zajmują stanowiska w odległości mniéj więcéj 50 do 60 sążni od tropu, którym niedzwiedź podążał na zimowe leże.

Za uderzeniem w trąbkę przez łowczego, szczwacze i dojeżdżacze doprowadzają psy do legowiska, a skoro psy ruszyły niedźwiedzia, łowczy daje sygnał, powtórzony przez podwładnych mu leśników, którzy dmiąc w trąby myśliwskie, oznajmiają o tém myśliwym i obławie.

Trąbki myśliwskie zachowały tu zupełnie dawną tradycyjną formę, jakiéj niegdyś sławne myślistwo litewskie używało, jak również i sygnałów dawnych się używa. Na wszystkie tedy przypadłości, czy to kierunku jaki zwierz obrał sobie, czy to na psy, czyli téż do poruszeń obławą, która po większéj części jest nieruchomą, lub dla rozkazów leśnikom dawanych, wreszcie dla samych myśliwych, daje łowczy trąbką sygnały, zrozumiałe dla wszystkich, udział w polowaniu biorących. Ztąd téż wszyscy do rozporządzeń kierownika wyprawy wiernie się stosują.

Po skończoném polowaniu w jednéj kniei, myśliwi z całym taborem zajeżdżają na wypoczynek do wystawionych na ten cel po folwarkach domów, gdzie odbywają noclegi, i tak z kolei z jednego folwarku do drugiego się przenoszą.

Śniegi do dwóch łokci głębokości dochodzące, niezmiernie utrudniają jazdę po lasach, tak, iż zwykle zaprzęgać potrzeba do małych saneczek parę koni w szydło, inaczéj mówiąc, koń przed koń.

Z rozpoczęciem polowania występuje cała straż leśna z sześćdziesięciu leśniczych złożona, oraz psiarnia mająca około trzydzieści gończych czysto polskiéj rassy, niezmiernie ciętych i znakomicie zaprawionych do niedźwiedzia.

Tym trybem w miesiącu marcu r. bież., hr. August Potocki, syn właściciela Berezyny, w towarzystwie zaproszonych przez siebie gości, a mianowicie: ks. Jana Sapiehy, hr. Antoniego Wodzickiego, mistrza obrzędów Dworu Sergjusza Muchanowa i p. Stanisława Rembielińskiego, rozpoczął szereg polowań, które trwały przez trzy niedziele, i odbywały się co dni dwa w różnych miejscowościach dziewiczych lasów Berezyńskich, obejmujących niezwykłą, bo przeszło 6,300 włók wynoszącą przestrzeń *).

Piérwszego dnia hr. Wodzicki rozpoczął polowanie ubiciem niedźwiedzicy.

Następnego dnia, pan Januszkiewicz, pełnomocnik dóbr Berezyńszczyzny, położył niedźwiedzia.

Trzeciego dnia celnemi strzałami hr. August Potocki powalił olbrzymiego niedźwiedzia, p. Rembieliński zaś wspaniałego rysia.

Czwartego dnia myśliwi nie dali trafnego strzału; psy gończe tylko rozszarpały 3-letniego (piastuna) niedźwiedzia.

Piątego dnia hr. Wodzicki znów powalił niedźwiedzia.

Szóstego dnia wreszcie hr. August Potocki dobrym strzałem w samo serce, położył olbrzymiego niedźwiedzia; dojeżdżacze zaś osadzonych przez psy gończe dwóch niedźwiedzi (piastunów) związali i żywcem myśliwym dostawili.

Następnych dni ubito pięciu łosi.

Polowaniem kierował łowczy Schenning, rodem Inflantczyk, znakomity myśliwy na niedźwiedzie.

Tak więc w r. 1876 zginęło tu starych niedźwiedzi sztuk sześć, piastunów dwa, pięć łosi i ryś jeden. Polowanie zatém to do najświetniejszych zaliczyć w tym rodzaju można.

Polowania z lat dawniejszych, począwszy od r. 1870, w których hr. August Potocki przyjmował udział z zaproszonemi przez siebie panami: hr. Tomaszem Ordynatem Zamojskim, hr. Szembekiem, ks. Lichtenstein, pp. Izbińskim, Kandibą, ks. de Rohan i hr. Konstantym Zamojskim odznaczały się rozmaitem szczęściem:

W r. 1870 hr. August Potocki z p. Izbińskim zabili 6 niedźwiedzi; w r. 1872 zabito ich 11; w r. 1873 tylko 3; w r. 1875 zabitych było 6-u niedźwiedzi. Przy tém polowaniu wzięto 5 małych żywcem, które przewiezione do Ordynacyi hr. Zamojskiego w Lubelskie, wydostały się już w 7-m miesiącu życia ze zwierzyńca, i uszedlszy do lasów stały się tak niebezpiecznemi, że trzeba było urządzić na nich obławę i wybić co do jednego.

Niedzwiedzica, któréj młode odebrano podczas polowania, rzuciła się na osocznika, a wziąwszy go w pół zgnieść usiłowała: ocalenie swoje winien ten człowiek psom gończym, które dzielnie szarpiąc niedzwiedzicę, obróciły ją przeciwko sobie, a następnie do ucieczki zmusiły —(Hr. Konstanty Zamojski następnie powalił ją, strzelając do boku). Nieszczęśliwy osocznik siłą wielką obdarzony, bronił się pięściami, bijąc niedzwiedzicę po głowie; oswobodzony przez psy, wdrapał się na drzewo, oczekując aż te zmuszą ją do ucieczki, co gdy nastąpiło, biedny osocznik ze zdartą z pleców skórą, pokaleczoną głową i zranioném ramieniem przyczołgał się do myśliwskiego taboru.

Wypadki podobnego rodzaju rzadko się bardzo zdarzają; tu głównie czerwona koszula, którą ów osocznik miał na wierzchniem ubraniu, zwróciła rozwściekloną utratą dzieci niedzwiedzicę.

Że jednak polowania te wymagają prawdziwéj odwagi, zimnéj krwi i—mówiąc językiem dzisiejszéj chwili — zdrowych nerwów, o tém wątpić nie można. Człowiek oddający się polowaniu, szczególniéj zaś na grubego zwierza, jak to niedźwiedź, dzik, łoś i jeleń bywa, nabiera hartu ciała, śmiałości, zręczności i siły,na czém zniewieściałym XIX-go wieku synom tak serdecznie zbywa.

*) Jeden epizod z tego polowania, a mianowicie chwilę „patroszenia niedzwiedzi“ podajemy czytelnikom w wiernéj fotografii. (*Przyp. Red.*)

* * *

— **Kupna i sprzedaże**.—Ubiegłéj jesieni podczas wyścigów w Newmarket, odbywały się licytacye na roczniaki pełnéj krwi, pochodzące z rozmaitych stad angielskich. Za roczniaki te płacono bajeczne summy, bo od 1,000 do 1,500 funt. szter za sztukę.

— Z polecenia rządu pruskiego, hr. Lendorff kupił w Anglii od pana Kuksona dla stada rządowego w Gradcu, gniadego ogiera pełnéj krwi „The Palmer“, ur. w r. 1864 od Beadsmana i Mme Eglantine, córki Cowl, po ojcu i matce brata rodzonego Rosicrucian, za którego zapłacił 7,000 funt. szter. P. Kukson wymówił sobie prócz téj ogromnéj ceny, prawo dopuszczania „The Palmer“ corocznie do 4-ch swoich klaczy.

* * *

— **Wypadki**.—Hr. Mansfeld, minister rolnictwa w Austryi, pędząc cwałem na polowaniu *par force*, wpadł z koniem na pokryty deskami kanał; w skutek załamania się desek, koń silnie się potknął i wyrzucił ministra z siodła. Stłuczenie nie jest niebezpieczne.

* * *

— **Wystawy**.—Na tegorocznéj wystawie wierzchowych koni w Kijowie, znajdowało się 8 koni przysłanych ze stad pp.: hr Władysława Branickiego, księcia Baratowa, Dachowskiego i Mazarakiego.

— Wystawa psów w Preston Park w Brighton, dni cztery trwająca, odbyła się z nadzwyczajną świetnością. Wiele znakomitych psiarni z Królestwa wysłało najwspanialsze okazy; psów wystawionych było 1,000 z górą. Książę Wallii nadesławszy okazy swojéj psiarni, niemało przyczynił się do podniesienia wystawy; psów tych zaś przysłał przeszło 12 gatunków. Pomiędzy niemi znajdowały się niedawno przywiezione z Indyj; były téż tam także psy rassy polskiéj. Księżna Wallii wystawiła psa ruskiego, przysłanego jéj przez hr. Tołstoja.

* * *

— **Wiadomości miejscowe**. – W grudniu przybyły z willegiatur do Warszawy na sezon zimowy następujące osoby, czoło naszego towarzystwa stanowiące, a mianowicie:

Hrabiostwo Maurycowie Potoccy, z córką hrabianką Natalią Potocką z Zatora w Galicyi.

Hrabiostwo Ordynatowie Zamojscy, po letnim pobycie w Jabłonnie i Zatorze.

Książę Leon Radziwiłł z Cesarstwa.

Hrabia Franciszek Łubieński z Kazimirzy Wielkiéj.

Bawił też w Warszawie znany komedyopisarz hr. Jan Aleksander Fredro przez dni kilka.

Znany sportsman p Rzewuski znajduje się obecnie w Warszawie.

Hrabina Marya z książąt Sapiehów Władysławowa Branicka, przybyła z Białocerkwi tylko na krótki czas.

Z Galicyi dochodzą zatrważające wieści o stanie zdrowia ks. Adama Sapiehy. Sędziwy ojciec jego dotknięty chorobą syna również zaniemógł.

J. N.

„PRZEDŚWIT“.

Jednym z najznakomitszych polskich koni, które w ciągu ostatnich lat kilku odznaczyły się na torach naszych i zagranicznych, jest bez zaprzeczenia „Przedświt“ ogier, urodzony w r. 1872 w Chorzellowie w Galicyi, majątku hr. Jana Tarnowskiego, z Knigt of the Garter i the Jewel. Koń ten jako główny zdobywca nagród w wyścigach, w których biegał, na żądanie Jokey-Klubu wiedeńskiego został sportretowany przez najznakomitszego naszego akwarelistę i malarza koni Julliusza Kossaka. Kossak podobiznę „Przedświta“ z obrazu tego przez siebie zdjętą, razem z portretami P. Lowell trenera, który wychował i trenował tego konia, oraz dżokeja p. Butters, który większą część wyścigów jeżdżąc na „Przedświcie“ wygrał, dla nas wykończył.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		w Cesarstwie i na prowincyi:	
Rocznie	Rs. 10 kop. —	Rocznie	Rs 12
Półrocznie	„ 5 „ —	Półrocznie	„ 6
Kwartalnie	„ 2 „ 50	Kwartalnie	„ 3

Cena numeru pojedyńczego kop. 20.



PRZEDŚWIT. Ogier hr. Tarnowskiego, (rysował z natury Juliusz Kossak).

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski** — Дозволено Цензурою, Варшава 10 Декабря 1876 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa Nowolipki Nr. 2406 (3).

Redakcya i główna ekspedycya w kantorze drukarni J. Ungra, w Warszawie Nowolipki Nr. 3.



POLOWANIE W BEREZYNIE, WYPRAWIONE PRZEZ HR. AUGUSTA POTOCKIEGO.

PATROSZENIE NIEDŹWIEDZIA.